

Grzegorz Bazylak

Genocide: dziś oni, jutro my

W wiosce Azenhas do Mar,
choć nigdy tam nie byłem,
wolno schodzę po krętych schodach
w dół nad skalisty brzeg Atlantyku,
abyśmy byli bliżej siebie,
gdy zostaną dziś znowu oślepieni
widokiem zasypywanych gruzem
10 tysięcy ciał palestyńskich dzieci,
wgniatanych w całości buldożerami
i gąsienicami czołgów merkawa MkIV
z gwiazdą Dawida pod pokłady
pustynnego piasku w Ramallah, Jabalia,
Bajt Lahija, Rafah, Beit Hanoon, Khan Younis,
Madinat al-Awda, Jabalia al-Balad, Nuseirat,
Zeitoun, nie wątpiąc wtedy, ani przez chwilę,
że my ludzie, a nie sieci, wiemy, kto jest
sprawcą, a kto ofiarą, kto jest po naszej
stronie, że wolno, trzeba i należy oskarżać
nie tylko ich, uzbrojonych od pięć
po zęby zabójców w transejach,
którzy rechocząc z uciechy nad kolejną
udzieloną im z naszych depozytów
kredytową transzą lub salwą znowu
udoskonalonych rakiet, pocisków i bomb
rozrywających niebo nad Strefą Gazy,
systemowo wskazują, że nie chodzi o to,
kogo wybrać, wschód czy zachód,
północ czy południe, ale o to,
że już od dawna nie mamy
żadnego wyboru,
bo go bogowie i tak odrzucą,
a ludzie, jeśli jeszcze są,
już odrzucają.

Jadłospis z Guantanamo

Aby był wynos, w opakowaniu
za dopłatą lub bez, najpierw musi być
donos włożony w zapiekankę między
bekon i ziarna prażonego słonecznika
albo do zapiekawy pod serowy kotlet
z konfiturą z czerwonej borówki, taka
rozpalona świeżynka, ale nie każdy
donos, niestety, zamawiają po pandemii
kovidowej na wynos, dlatego właśnie
Friedrich Hölderlin odpoczywał,
gdy myślał o umarłych, słysząc przy tym
intensywne, odblokowane przez procesy
dojrzwania, odgłosy tarcia za ścianą,
początek nowego życia pełnego donosów,
gromadzonych potem dzień i noc w kilku
rozrzuconych po całym kraju
oddziałach instytutu podrobionych
notatek, które zamiennie Ci generyczny lek
wypisany rutynowo jako placebo
przez receptomat w całodobowy lek,
Twoją szarpaninę, ten parahormon
dostarczany przez poznaną w sieci
transpłciową kobietę, gdy pewnego dnia
winda przestanie stuknąć i zatrzymać się
na każdym piętrze w ten sam
sposób.

Z księgi Oppenheimera

To, co rozgrywa się płynąc
z prądem nie oznacza zmiany,
dopiero to, co przegrywa tonąc
w słowach i działaniach,
gdy pomoc zostaje wysadzona
na brzeg roztrzaskanego okna, które
straszy horyzontem w zgłiszczach, nadając
kierunek ucieczki z rejonu pod ostrzałem
wilczych spojrzeń milczącej większości,
ocenianych jako odrębny akt agresji,
który w ten sposób ożywia, jak światło
głodnego księżycy spod rozwianych chmur,
odebrane nam przez tą większość,
wbijającą na co dzień gwoździe
w swoje trumny, prawo do czynnego
oporu, a przy okazji każe zastanowić się,
czy przypadkiem nie zasłużyła sobie
na ten los: obrazu grzyba z pustynnego
piasku na tle nieba, 200 mil od laboratorium
Los Alamos, niedaleko Alamogordo, w stanie
Nowy Meksyk, wczesnym rankiem
w dniu 16 lipca 1945 roku.

Dobrostan po transformacji

Powiedz, co możesz dla mnie zrobić, stojąc
w lesie
przy wylotowej drodze z miasta nad Brdą,
nie jako
pozbawiony nadzoru bohater liryczny, ale
jako wolny,
autentyczny i kreatywny, bo dopiero wtedy
świeże
pomysły wyskakują ze skorupy nienawiści,
zmieniając
odcisk nagich pośladek, gdy wyschną
warstwy gipsu
i opadnie kurz, w anielskie skrzydła,
z których lewe
wyda z siebie więcej energii niż prawe,
a wtedy na
środku zostaną tchórze, którzy zawsze
zrobią, co tylko
mogą, aby podejść blisko do prawdy, ale nie
za blisko,
bo mogliby zostać od niej odcięci nożycami
ogrodowymi,
jak sutki od piersi Alison, co straciła dziecko,
gdy wzięła
przypadkiem z *polonaise counte* udział
w głośniej
caserolazos, chcą oddać, jak Wolter, żywym
szacunek,
a zmarłym jedynie prawdę, która jest jak
moron (dziecko
we mgle) albo mobik (żołnierz
zmobilizowany), myślący
baterie i bakterie, dlatego chciałyby,
naśladować białych
kolonistów w Kongo, zabijać miejscowych
sodowym
światłem i uderzeniami sodowej wody do
głowy,
zwłaszcza tych na strzeżonej plaży hotelu
w Cannes,
bo niezależnie od epoki i dochodu
rozporządkalnego

burzuje bez grosza na małe marnie się
prezentują.

Żaloba

Na odrzuconych sztandarach, na odciętych
nogach,
gdzie milcząca nieobecność tego co inne,
potwierdza
tylko to, co już istnieje, wszystko to, co wie
o tym, że
dzień wstaje, a noc zapada, że drobne
szczegóły na
startych monetach są jak usypiająca muzyka
twarzy
widzianych między opadającymi roletami
w oknach,
niedokończona ekspozycja zatrzymująca
w sobie język
gestów i słów, aby się porozumieć, szczegóły
jak skóra
werbla, która w upale przybiera wyższy ton,
zakłócając
fale akordów w ustalonym porządku nut,
rozsuwając
nogi lalek będące ustami, gasząc żarówki,
służące jako
oczy, umieszczając pod kloszem gipsowe
putta, z pasma
trawy wyciągając czarne futerko, znajdując
w koronie
drzewa figurkę lwa, rekina lub tygrysa z nagą
kobietą
na grzbiecie, która zamiast głowy ma czaszkę
zwierza,
zwierzaka lub wymyślonego przez Stillera
zwierzynieka
z rudą czupryną, w aureoli nad krzyżem,
w porożu jelenia,
decydując o jego życiu i śmierci w kolcach
utworzonych
ze stalowych zębów, na cyfrowo obrobionych
fotografiach,
bez efektu narodzin, stawania się
i wygasania, nakładając
na siebie przejrzysty puder, lakier, tusz i kolor



Rys. Barbara Medajska